

Uwaga na jednorękich ekonomistów!

Z Elżbietą Mączyńską rozmawia Michał Sobczyk.

Jaki jest przeciętny poziom wiedzy ekonomicznej Polaków?

Elżbieta Mączyńska: Niestety kiepski. Jednak życie coraz częściej zmusza nas, by zacząć interesować się ekonomią. Niekiedy odbywa się to bardzo boleśnie: wiele osób straciło na giełdzie, zaciągnęło kredyty, z którymi sobie teraz nie mogą poradzić, albo powierzyli pieniądze funduszom inwestycyjnym i nie przyniosły im one spodziewanych zysków. Uczenie się poprzez takie „ekonomiczne kopniaki” zamiast na błędach innych ma swoje źródło jeszcze w poprzednim ustroju. Gdy nie było gospodarki rynkowej, lecz nakazowa, zwykli obywatele czuli się zwolnieni z głębszych rozważań na temat sensu ekonomicznego poszczególnych rozwiązań i decyzji. Problematyka ta była również zainicjowana w programach kształcenia, co jest problemem także dziś.

Niedoścignionym na razie wzorem może być dla nas system edukacyjny w Niemczech. Już na szczeblu nauczania początkowego zamiast „Ala ma Asa” uczy się dzieci „Ala miała 2 euro i kupiła zabawkę”. Następnie maluchy dyskutują na temat gospodarowania budżetem domowym, a przy okazji tych prostych lekcji przemycą się bardzo poważne kategorie ekonomiczne. Na wyższych szczeblach kształcenia tematyka gospodarcza wykładana jest także (obok głównych przedmiotów ekonomicznych) w ramach innych przedmiotów, np. kiedy młodzież uczy się angielskiego, przekazuje się jej w tym języku informacje ekonomiczne na temat różnych krajów. Podczas nauki o procentach matematyk wyjaśnia, co to znaczy oprocentowanie np. kredytu i lokat pieniężnych, jak można oszczędzać itp. To dość proste metody, jednak dzięki nim Niemcy lepiej rozumieją powiązania między gospodarką a innymi sferami rzeczywistości.

Oczywiście nie twierdzę, że każdy powinien być wielkim znawcą ekonomii, ale jej elementarzysty powinni znać wszyscy. Jeśli jest inaczej, to znaczy, że system edukacyjny zawodzi. Niepra-

widowości jest tutaj mnóstwo, np. prawnicy otrzymują podczas studiów za mało wiedzy ekonomicznej, a ekonomiści – wiedzy z zakresu prawa.

Wiedzę i opinie Polaków na tematy ekonomiczne kształtuje nie tylko szkoła, ale przede wszystkim media.

E.M.: Prowadzono badania, ile przeciętny obywatel rozumie z informacji przekazywanych w telewizji. Okazało się, że niewiele. Dużo w tym winy samych mediów.

Ktoś, kto zdaje sobie sprawę z własnych niedostatków wiedzy ekonomicznej, nadal może być świetnym dziennikarzem, bo będzie ciągle zadawał pytania. Tymczasem wielu dziennikarzy, gdy im jakiś ekspert powie „tu nastąpiło przelewarowanie”, mówi „aha”, i nikt nie wie, o co chodzi – choć to dość proste do wyjaśnienia, bo wystarczy powiedzieć, że oznacza to nadmierne zadłużenie. (...) Rola mediów jest przekazywanie informacji ekonomicznych tak, żeby je mogły zrozumieć także osoby nieposiadające wiedzy ekonomicznej (...).

Czytając lub słuchając niektórych dziennikarzy, można wręcz odnieść wrażenie, że nie ma nic prostszego niż zarządzanie gospodarką. Przykładowo, jeśli coś ma być efektywne, wystarczy to sprywatyzować.

E.M.: Tylko w filmach, westernach, mamy do czynienia z łatwymi ocenami, z charakterami czarnymi i nieskazitelnymi białymi. Ekonomia to nie western, oceny są tu bardziej złożone. Czy obniżenie podatków jest dobre? Każdy, kto je płaci, powie, że tak. Z drugiej strony, czy wysoki poziom nauki, oświaty, ochrony zdrowia leży w polu naszego zainteresowania? Oczywiście tak. W takim razie trzeba wyższych podatków, żeby to wszystko sfinansować. Dlatego nie jest chyba zasadne, gdy dziennikarz przypiera rozmówcę-eksperta do muru, by na jakieś fundamentalne pytanie odpowiedział mu „tak” lub „nie”. W większości przypadków

odpowiedź brzmi bowiem „tak, ale pod warunkiem...” lub „nie, chyba że...”.

Jest w języku angielskim taki dowcip. Dyrektor bardzo źle funkcjonującego przedsiębiorstwa zażyczył sobie, żeby umówiono go na rozmowę z doradcą wyspecjalizowanym w wyciąganiu firm z kłopotów. Pyta go, czy zredukować zatrudnienie. „Z jednej strony (on the one hand), nie potrzeba nam tak wielu pracowników. Z drugiej strony (on the other hand), jeśli część z nich zwolnimy, to mogą pójść do konkurencji. Za chwilę, gdy zwiększy się popyt i będziemy szukali dodatkowych rąk do pracy, najlepszych z nich będzie trudno pozyskać z powrotem” – odpowiada doradca. Następnie dyrektor chce wiedzieć, czy firma ma zainwestować w nowe linie technologiczne. „Z jednej strony, gdy będziemy inwestować, to nam się pogorszy płynność, ale z drugiej strony, jeśli nie będziemy inwestować, możemy stracić konkurencyjność”. Po kilku kolejnych odpowiedziach w tym stylu zdenerwowany dyrektor otwiera drzwi do sekretariatu i woła: „Proszę mi tu przysłać jednorękiego ekonomistę!”. Otóż nie ma nic gorszego niż jednoręki ekonomista. Mamy dość jednorękich polityków, którzy ciągle komuś coś obiecują, tylko niestety nie mają drugiej ręki, z której mogliby to dać. Nie należy wierzyć takim obietnicom.

Im niższy poziom wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie, tym łatwiej o populizm. Ludzie, którzy wiedzą, jak złożona jest gospodarka, mają świadomość, że nie tak łatwo spełnić wymagania rozmaitych grup i poprawić sytuację jedną decyzją.

Nie sposób nie zauważyć, że pula ekonomistów, których opinie są nagłaśniane, jest dość ograniczona. Tacy np. eksperci Centrum im. Adama Smitha – wiecznie te same dwie czy trzy osoby – chętnie wypowiadają się w dowolnych kwestiach. Z kolei przedstawiciele stanowiska propaństwowego rzadko mają możliwość publicznej wypowiedzi.

E.M.: To problem nie tylko mediów, ale w ogóle zdoktrynalizowania dyskusji o gospodarce. Tymczasem w klasycznym liberalizmie Adama Smitha były istotne obszary zarezerwowane dla państwa. Również historia gospodarcza pokazuje, jak ważne jest dostosowywanie rozwiązań ekonomicznych do specyfiki danego kraju. Bikini nadaje się na plażę, ale nie nadaje się na ulicę, zwłaszcza zimą; tak samo jest z teoriami ekonomicznymi. Gdy w 2008 r. w Stanach Zjednoczonych wybuchł kryzys, w Davos rzucono hasło, że „wszyscy jesteśmy keynesistami”. Teoria Keynesa, do której nagle wrócono po kilku dekadach przerwy, też nie jest idealna (nie ma takiej), natomiast postulowane przez nią pobudzanie produkcji jest dobre w sytuacji, gdy gospodarka „przysypia” (...).

Tworzącej przez dziesięciolecia dominacji doktryny neoliberalnej towarzyszyło dość prostackie etykietowanie: jeśli nie jest się liberałem (przy czym nieprecyzyjnie posługiwano się tym pojęciem, gdyż liberalizm ma wiele odmian), to znaczy, że jest się „betonem”, *komunistą* czy też *etatystą*. A jeżeli ktoś zwracał uwagę na problemy sprawiedliwości społecznej, zyskiwał etykietę utopisty. Tak m.in. w niektórych kręgach postrzegany był zmarły niedawno prof. Tadeusz Kowalik. Mówiono, że to *świątyni człowiek, uczciwy, ale oderwany od rzeczywistości*. I tak tego typu etykietowanie eliminowało poważniejszą dyskusję. Gdyby nie zdoktrynalizowanie, to prawdopodobnie nie zyskałaby takiej popularności książka Fukuyamy „Koniec historii”, w której stwierdza się, że forma kapitalizmu bazująca na neoliberalizmie jest najlepszym, ostatecznym, niezastępowalnym modelem społeczno-gospodarczym i już nie potrzeba poszukiwania innych rozwiązań. O tym, jak błędne było to podejście, spektakularnie przekonuje wybuch kryzysu światowego. Dowodzi to zarazem, jak groźne bywa doktrynalizowanie. Na marginesie: dlaczego kraje skandynawskie nie zostały tak bardzo dotknięte kryzysem finansowym? Między innymi dlatego, że nie uległy doktrynie neoliberalnej. Dotyczy to też w pewnym stopniu Niemiec.

Modele teoretyczne wdrażane w praktyce, w tym modele ustroju społeczno-gospodarczego, powinny być „garniturami sztywnymi na miarę”, a nie jedynym modelem dla wszystkich. Każdy kraj ma bowiem inne uwarunkowania, inne doświadczenia historyczne i tradycje oraz wzorce kulturowe. Jednak nawet jeśli uznać, że wzorzec skandynawski czy niemiecki jest racjonalny, to i tak nie można żadnego z tych wzorców przenosić automatycznie na grunt innego kraju, w tym i Polski. Chociażby dlatego, że mentalność czy też doświadczenia historyczne Polaków są inne niż Niemców czy Skandynawów. Takie mechaniczne „przefflancowywanie” wzorców ustrojowych, modeli społeczno-

-gospodarczych nie jest zasadne, nawet jeśli globalizacja powoduje, że różnice stopniowo się zacierają.

Jak ocenia Pani rzetelność argumentów ekonomicznych wykorzystywanych jako uzasadnienia realizowanych polityk publicznych?

E.M.: Niestety, polityka rządzi się swoimi prawami. Podlega swego rodzaju terrorowi cyklu wyborczego (...) Rządzą partyjne reguły, priorytety, wśród których najważniejsza jest skuteczna walka o wyborców. W związku z tym nierzadko argumenty populistyczne wypierają merytoryczne. Politycy myślą w kategoriach od wyborów do wyborów, a cztery lata to za krótko, żeby móc podejmować decyzje strategiczne i wcielać je w życie. Nieprzypadkowo też powiada się, że politykom bardziej leżą na sercu losy przyszłych wyborów, niż przyszłych pokoleń. Dlatego tak ważne jest wydłużenie horyzontu czasowego, sprzyja temu m.in. wprowadzanie budżetu zadaniowego. Budżet zadaniowy oznacza, że jeżeli przewidziane są w nim środki np. na zadanie polegające na wybudowaniu autostrad, czy na szeroko zakrojone projekty racjonalizacji ochrony zdrowia, czy systemu edukacyjnego, to każda kolejna ekipa rządząca krajem jest zobowiązana do realizacji tych zadań.

Oczywiście politycy kierują się jednak nie tylko kalkulacjami wyborczymi, ale także rachunkiem ekonomicznym. Problem jednak polega na tym, jakiego rodzaju jest to rachunek – krótkoterminowy czy tzw. ciągniony, uwzględniający pełne następstwa danego posunięcia, jego koszty i efekty zewnętrzne, tzw. externalities. Tego ostatecznego rachunku przeważnie brakuje. Nagle np. dowiadujemy się, że Ministerstwo Finansów przeforsowało decyzję o zawieszeniu budżetowych dopłat do staży dla bezrobotnych ze względu na konieczność zmniejszania deficytu finansów publicznych i niedopuszczania do nadmiernego wzrostu długu publicznego. Potrzeba oszczędności jest oczywiście mocnym argumentem, nawet przy zastrzeżeniu, że jesteśmy zadłużeni relatywnie znacznie mniej niż wiele innych krajów Unii Europejskiej i świata, zwłaszcza krajów strefy euro. (...) Tyle tylko, że może się okazać, że są to oszczędności, które w przysłowiści mogą wpłynąć nie na poprawę, a na pogorszenie sytuacji w finansach publicznych.

Jeżeli bezrobocie jest pierwszą rzeczą, z którą zderza się w życiu zawodowym człowiek kończący studia, oznacza to dla niego stopniową utratę kwalifikacji oraz brak odpowiednich „zapisów w życiorysie”. Wobec tego w przyszłości takim ludziom będzie trudniej znaleźć pracę, i w ten sposób powstaje swego rodzaju błędne koło, a budżet bezpowrotnie traci wpływy podatkowe, jakie generuje praca i płace zatrudnionych. Co więcej, w wyniku frustracji osoby

takie mogą popadać w rozmaite patologie – alkoholizm, narkotyki, działalność przestępczą – lub ucierpieć na zdrowiu. Tak się nierzadko dzieje i potwierdzają to badania i analizy społeczne. Budżet będzie wówczas ponosił negatywne tego konsekwencje. (...)

Szczególnie negatywnie skutkują oszczędności i cięcia budżetowe środków przeznaczonych na edukację i ochronę zdrowia najmłodszych. Przykładem tego są m.in. wyniki podjętego w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku eksperymentu przedszkolnego w Stanach Zjednoczonych. Eksperymentem tym objęto dwie ponadstoosobowe grupy dzieci z rodzin afroamerykańskich. Pierwsza grupa została objęta bardzo solidną opieką i edukacją przedszkolną, przy czym dzieci te nadal mieszkaly ze swoimi rodzinami, czasami bardzo źle funkcjonującymi, na pograniczu patologii lub skrajnej biedy. Druga grupa – z tego samego, mówiąc umownie, podwórka – nie została objęta taką formą opieki. Następnie co kilka lat badano i nadal się bada dalsze losy i kariery członków obydwu tych grup. Wyniki są wielce symptomatyczne. Zdecydowana większość osób objętych eksperymentem przedszkolnym zdobyła wykształcenie i kwalifikacje zawodowe, dzięki czemu przeważnie nie popada w bezrobocie, nie wchodzi na drogę przestępstwa, zakłada prawidłowo funkcjonujące rodziny. W przeciwieństwie do tego – jak wykazują wielodekadowe badania – osoby z drugiej grupy (nieobjętej eksperymentem przedszkolnym) często popadają w konflikty z prawem, nie mają wykształcenia, ani kwalifikacji, silnie dotknięte są bezrobociem i innymi społecznymi patologiami. Wiele z tych osób przedwcześnie zmarło a wiele ciężko choruje. Obrazuje to, jak niewielkie stosunkowo wydatki budżetowe, ponoszone zaledwie przez okres trzech lat i ograniczające się do sfinansowania edukacji przedszkolnej, po wielekroć zaowocowały wieloletnimi pozytywnymi rezultatami. Wskazuje to zarazem, jak wysoce efektywne mogą być nakłady na edukację najmłodszych. (...)

Jakie są ograniczenia współczesnej teorii ekonomii w wyjaśnianiu świata, w tym w przewidywaniu dalszego rozwoju wydarzeń?

E.M.: Ekonomia jest nauką społeczną, a w naukach społecznych niewiele jest ostatecznych rozstrzygnięć, praw i prawd obowiązujących bezwzględnie i wiecznie. Zresztą nie ma ich nawet w tak ścisłych dyscyplinach, jak fizyka. Wielu fizyków podkreśla, że zakres naszej niewiedzy o wszechświecie jest wciąż jeszcze, mimo szybkiego rozwoju tej dziedziny nauki, tak wielki, że być może obecne prawdy generalne staną się wkrótce nieprawdami, nawet, jeśli obecnie wydaje się to niemożliwe. Podobnie jest w ekonomii.

Ekonomia jest nauką społeczną, a w naukach społecznych nie ma ostatecznych rozstrzygnięć i prawd obowiązujących bezwzględnie.

Na paradygmat, czyli wzorec każdej nauki, składają się bowiem trzy fundamentalne elementy: przedmiot, stosowane metody i narzędzia oraz zastosowania w praktyce. Dotyczy to także ekonomii. Jednak w przypadku ekonomii we wszystkich tych elementach ujawniają się istotne dysfunkcje i nieprawidłowości. Przedmiotem ekonomii jako nauki społecznej są zachowania ludzi w procesie gospodarowania. Jednak, mimo że ekonomia ukierunkowana być powinna na człowieka i służyć zaspokajaniu jego życiowych potrzeb, to jak się okazuje i co silnie wyeksponował kryzys globalny, rzeczywistość nie potwierdza tego w pełni. Człowiek pozostał na uboczu. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, Joseph E. Stiglitz w książce „Freefall. Jazda bez trzymanki” pisze, że w warunkach doktryny neoliberalnej ekonomia stała się najbardziej zajadłą cheerleaderką współczesnego, neoliberalnego kapitalizmu, pozostając na usługach polityków i ludzi zamożnych. Z kolei w książce „Cena nierówności” profesor Stiglitz poddaje pod dyskusję inny, ważny problem. Podkreśla, że obecnie mamy do czynienia w gospodarce globalnej z prymatem i dyktatem polityki bazującej na doktrynie monetarnej. Oznacza to uznanie, że ważniejsza jest niska inflacja niż niskie bezrobocie. Profesor Stiglitz stawia jednak pytanie, co by było, gdyby zmienić priorytety i przyznać prymat rynkowi pracy. Gdyby ludzie obecnie bezrobotni (a bezrobocie dotyka w świecie prawie 1 miliona osób) mieli pracę, mieliby także dochody z pracy, pieniądze, a gdyby mieli pieniądze, to by kupowali. Gospodarka mogłaby się wówczas lepiej rozwijać, nie mówiąc o tym, że ludzie rozwijałoby kwalifikacje i wiedzę, bo praca uczy.

Jeżeli chodzi o drugi człon paradygmatu ekonomii jako nauki, czyli stosowane w niej metody i narzędzia, to tu też nie udało się uniknąć dysfunkcji. Ekonomia bazuje na obserwacji doświadczeń ludzi w procesie gospodarowania, badane są prawidłowości tu występujące, które w ramach ekonomii się uogólnia i na tej podstawie tworzona jest teoria ekonomiczna. W ramach rozwoju stosowanych w ekonomii metod i narzędzi dążono do przybliżenia ekonomii do królowej nauk, jaką jest matematyka. Próbowano jak najwięcej zjawisk objąć modelowaniem matematycznym. Życie jest, okazuje się, jednak bardziej złożone niż matematyka. (...) Ilościowe modele matematyczne, choć wielce użyteczne, nie mogą zastąpić analiz jakościowych. Nie wszystko bowiem, co jest ważne w funkcjonowaniu człowieka, w gospodarce daje się pomierzyć i ująć w formuły matematyczne. Kryzys globalny także wykazał negatywne następstwa i bezzasadność umacniającej się w dekadach poprzedzających ten kryzys, bezkrytycznej, niepopartej jakościowy-

mi analizami, wiary w niezawodność modeli matematycznych.

Nieprzypadkowo też obecnie dynamicznie rozwijają się nowe nurty ekonomii, m.in. tzw. ekonomia behawioralna, w ramach której więcej uwagi poświęca się człowiekowi i jego zachowaniom w procesie gospodarowania. W teorii behawioralnej kwestionowana jest zarazem charakterystyczna dla nurtu neoliberalnego wykładnia, że niezawodna jest efektywność rynków, które tym samym wymuszają racjonalne zachowania ludzi w procesie gospodarowania. Wykładnia taka okazuje się zawodna. Ekonomia bowiem nie może ignorować doświadczeń innych dyscyplin: psychologii, filozofii, historii gospodarczej, a nawet medycyny. Mogą one jej służyć i służyć rozwojowi ekonomii, stąd nowy nurt – ekonomia złożoności, według której nie wystarczy stosowanie modeli matematycznych. Niezbędne są badania interdyscyplinarne, holistyczne. Jednym z wzorców dla ekonomii mogą być np. fundamentalne zasady medycyny holistycznej. Nieprzypadkowo też chyba profesor Jeffrey Sachs, – były doradca Leszka Balcerowicza – niedawno oznajmił, że przynajmniej w drugim etapie transformacji odradzał tak ostre, jak przyjęto, pełne ofiar rozwiązania transformacji szokowej w Polsce. Profesor Sachs podkreśla, iż jest zwolennikiem „ekonomii klinicznej”, wskazując zarazem na jej analogie z medycyną. (...) Grzechem zarówno medycyny, jak i ekonomii jest nader wąskie wyspecjalizowanie, bez należytego uwzględniania aspektów całościowych, holistycznych. Przynosi to negatywne skutki społeczne. Ekonomia kliniczna pokazuje, jak bardzo skomplikowany jest „organizm” gospodarczy – tym bardziej, im bardziej gospodarka się globalizuje.

Jednak największym, najtrudniejszym wyzwaniem dla ekonomisty jest prognozowanie. Złośliwi bowiem powiadają, że o prognozach

można powiedzieć na pewno tylko tyle, że się na pewno nie sprawdzają. Jednak są niezbędne w gospodarce. Wystarczy zresztą powiedzieć, że tzw. czarne prognozy pesymistyczne właśnie po to są opracowywane, aby się nie sprawdziły. Mają bowiem charakter ostrzegawczy, wymuszający korekty w polityce gospodarczej i polityce rozwojowej przedsiębiorstw. Zarazem jednak zbyt daleko idące prognozy i uogólnienia też mogą prowadzić na manowce. Wystarczy tu jeszcze raz przywołać sławetny fukuyamowski „koniec historii. Ale też Robert Lucas, laureat Nagrody Nobla z ekonomii, dosłownie na kilka lat przed kryzysem globalnym stwierdził, że problem kryzysów w gospodarce jest już doskonale opanowany i żaden wielki kryzys już nie wybuchnie, tak sprawnym jest bowiem model neoliberalnego kapitalizmu.

W obliczu kryzysu nawet prominentni zachodni ekonomiści neoliberalni wycofywali się przynajmniej z części swoich wcześniejszych poglądów. W tym samym czasie Uniwersytet Łódzki przyznał honorowy doktorat Margaret Thatcher, symbolowi praktycznej realizacji tej doktryny. Jak wygląda sytuacja w innych polskich uczelniach – czy pod wpływem wydarzeń ostatnich lat nastąpiły tam istotne przewartościowania?

E.M.: Podobnie jak na Zachodzie, również na polskich uczelniach neoliberalizm był przez wiele lat bardzo popularny, a ci, którzy zgłaszali pod jego adresem jakkolwiek krytykę, byli uważani za „osoby niedouczzone”. Problem w tym, że jak pisze John K. Galbraith w książce „Ekonomia w perspektywie”, bardzo trudno zmienić sytuację w nauczaniu, dopóki wykładowcami są ludzie przywiązani do danej doktryny. Wskazuje przy tym na silną dominację na uczelniach neoliberalnej, monetarystycznej chicagowskiej szkoły ekonomii. Nielatwo jest bowiem, wyrzec się swoich poglądów i wykładanych tez, nawet gdy fakty przeczą ich racjom. Podobnie jest na polskich uczelniach. Są profesorowie, którzy kierują studentów do różnych, bardzo refleksyjnych lektur, ale i tacy, którzy nieustannie wskazują na wyłączne racje szkoły chicagowskiej i monetaryzmu. Według niego kluczem do gospodarki jest ilość pieniądza – wszystko zatem daje się wyregulować poprzez jego podaż. Główny guru monetaryzmu Milton Friedman mówił, że powinna być ona proporcjonalna do obrotów handlowych, a odwrotnie proporcjonalna do szybkości obiegu pieniądza. Obecnie jednak problem polega na tym, że oprócz pieniądza w obrotach handlowych funkcjonuje cała masa pieniądza i parapieniądza w bankach i instytucjach finansowych, w formie kredytów, papierów wartościowych, w tym dłużnych, hipotecznych, opcji itp. Nie umiemy tego wszystkiego nawet policzyć.

Przed wszystkim jednak istotne jest to, co John. K. Galbraith zarzucał Miltonowi Friedmanowi, aby nie sprowadzać wszystkiego do pieniądza. Życie gospodarcze jest bowiem bardziej złożone w stosunku do tego, co wynika z teorii pieniądza. Zarazem warto tu pamiętać, że Milton Friedman pod koniec życia nie był już tak jednostronnie monetarystyczny w ocenach gospodarki i jej przemian. Stwierdził np., że Polska nie powinna bezkrytycznie przyjmować rozwiązań funkcjonujących w wyższej rozwiniętych krajach Zachodu (dotyczy to np. Konsensusu Waszyngtońskiego), lecz zastanowić się, jakie rozwiązania przyjmowały te kraje w latach, gdy były na poziomie rozwoju naszego kraju obecnie.

Gdy mowa o bilansie transformacji, najlepiej słyszalne są głosy publicystów, polityków oraz ekonomistów bezpośrednio zaangażowanych w politykę lub biznes. Ciekawi mnie, jak na wspomniane zagadnienie patrzą ekonomiści uniwersyteccy.

E.M.: Niewątpliwie z transformacją wiązały się znaczące sukcesy, ale też mnóstwo porażek. Sukcesem widocznym od początku było ożywienie się przedsiębiorczości. Liczne grzechy popełniono natomiast w polityce społecznej, np. prawie całkowicie zaniechano profilaktyki zdrowotnej w szkołach. Głębokie zaniedbania występują w szkołach w sferze uczestnictwa uczniów w życiu kulturalnym i wiedzy o kulturze. W związku z tym niebezpiecznie pogłębiają się dysproporcje społeczne, tzn. są dzieci bardzo zadbane, a nawet „przeinwestowane” przez bogatych rodziców, ale zarazem są grupy dzieci kompletnie zaniedbanych. Jeśli dzieci i ich rozwój edukacyjny oraz kulturowy cierpią z powodu błędów w polityce społeczno-gospodarczej,

w tym edukacyjnej, to nie i nikt nie może polityków XXI wieku z tego rozgrzeszać. Sądzę też, że nikt i nic nie może rozgrzeszać polityków z zaniedbań i zaniechań, jakich doświadczyły np. dzieci z rodzin popegeerowskich.

Do negatywnych cech współczesności z pewnością można zaliczyć również zaniedbania w sferze refleksji strategicznej, w sferze myślenia i uwzględnieniem dłuższej perspektywy czasowej, z troską o następne pokolenie. Zarzut nieuwzględniania dłuższej perspektywy dotyczy również np. prywatyzacji, na którą patrzy się prawie wyłącznie przez pryzmat jednorazowych wpływów budżetowych ze sprzedaży przedsiębiorstw. Brak natomiast kompleksowych analiz – przed, w trakcie i po prywatyzacji – uwzględniających m.in. ubytki dla budżetu z powodu utraconych dywidend oraz z uwzględnieniem porównawczych analiz efektywności i rentowności prywatyzowanych przedsiębiorstw i generowanych przez nie wpływów do budżetu państwa. Mimo że minęło ponad dwadzieścia lat od rozpoczęcia transformacji, nigdzie nie został pokazany pełny, analityczny, społeczno-ekonomiczny obraz prywatyzacji, z uwzględnieniem wszystkich wpływów i wydatków, oraz pozytywnych i negatywnych następstw społecznych. Moim zdaniem, tego rodzaju kompleksowa analiza powinna towarzyszyć każdej planowanej prywatyzacji, nawet najmniejszego przedsiębiorstwa. **J e z e l i** w wyniku jego sprzedaży wzro-

sną długofalowe wpływy do budżetu, to proszę bardzo. Jeżeli zaś nie, to powstaje pytanie, czy jedynie w imię doktryny warto prywatyzować firmę przynoszącą zyski. Żadna teoria nie udowodniła jak dotąd, że prywatyzacja jest zawsze najlepszym rozwiązaniem. Mało tego, ukazuje się coraz więcej książek, które pokazują dysfunkcje prywatyzacji mienia publicznego. W książce pt. „Korporacja – patologiczna postać za zyskiem i władzą” kanadyjski profesor Joel Bakan na podstawie dokumentów źródłowych wykazuje, jak wiele szkód przyniosła nieprzemyślana prywatyzacja w energetyce, wodociągach, a także w edukacji i jak negatywnie wpłynęła na budżet państwa i budżety gospodarstw domowych.

Pęd do prywatyzacji kolejnych sfer życia społecznego, motywowany m.in. przekonaniem o bezwzględnej wyższości „prywatnego”, nadal jest w Polsce bardzo silny. Ideologiczne podstawy ma także niechęć wobec polityki socjalnej. E.M.: Warto wspomnieć, że nawet Milton Friedman, uważany za neoliberala i zacieklego monetarystę, brał pod uwagę kwestie socjalne. Co zaskakujące i bardzo rzadko podkreślane, był on autorem koncepcji tzw. ujemnego podatku dochodowego. Był zdania, że do pewnego poziomu dochodów podatek powinien być zerowy, a jeżeli człowiek osiąga zarobki uniemożliwiające godną egzystencję, powinno się go dofinansowywać ze środków publicznych. Tymczasem neoliberalowie, nieustannie powołujący się na Friedmana, do niedawna uważali, że państwo nie ma obowiązku realizować i finansować programów opieki socjalnej, a jeśli już, to w absolutnie minimalnym stopniu. Tymczasem złożoność życia społeczno-gospodarczego sprawia, że nierzadko pomoc socjalna, jeśli jest należycie kierowana, może generować w przyszłości zwiolokrotnione w stosunku do wielkości pomocy dochody budżetowe. Ilustruje to m.in. wskazywany już eksperyment przedszkolny w USA.

Powtórzę zatem tu jeszcze raz ostrzeżenie przed jednorękami – i chyba trzeba tu dodać: „krótkowzrocznymi” ekonomistami i politykami.

Dziękuję za rozmowę.

Jest to skrócona, poddana dodatkowej redakcji i autoryzacji oraz uzupełnieniem wersja wywiadu opublikowanego w kwartalniku „Nowy Obywatel” nr 6 (57), jesień 2012 r.

<http://nowyobywatel.pl/>

Im niższy poziom wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie, tym łatwiej o populizm. Ludzie, którzy wiedzą, jak złożona jest gospodarka, mają świadomość, że nie tak łatwo jednym zabrać, a drugim dodać, albo poprawić sytuację jedną decyzją.

